№ 52. Warszawa, dnia 15 (27) Grudnia 1890 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 4, półrocznie rs. 2, kwartalnie rs. 1. **Na Prowincyi** rocznie rs. 5, półrocznie rs. 2 kopiejek 50, kwartalnie rs. 1 kop. 25. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 2, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 2 cen. 30. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złr. 2, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 2 centów 30. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 3, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 3 pf. 50.

Adres: Emil Skiwski w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

OD REDAKCYI.

Przypominamy odnowienie prenumeraty na kwartał pierwszy przyszłego roku 1891, ***podług ceny do połowy obniżonej*** *a mianowicie:*

W Warszawie kwartalnie rs. 1.

Na prowincyi z przesyłką pocztową:

kwartalnie rs. 1 kop. 25.
półrocznie rs. 2 kop. 50.
rocznie rs. 5.

Na ***Przyjaciela dzieci*** *prenumerata tyleż wynosi, przy przesyłce przeto pieniędzy prosimy o doniesienie,* ***na jakie pismo są przeznaczone,*** *aby właściwie były przesyłane.*

Adres: Emil Skiwski, redaktor i wydawca „Tygodnika mód i powieści" w Warszawie, ulica Chmielna Nr 26.

☞ Dla „Tygodnika mód" tłómaczą się powieści p. t. ***Sacrifiés*** i ***Toute une jeunesse*** F. Coppée'go.

NA ROK NOWY.

Rok stary kona. Na jego mogile
Nowy w promienne otulił się szaty,
Z ramion mu skrzydła strzelają motyle,
Jakby przelatać chciał z kwiatów na kwiaty
I z ich kielichów miody zebranemi
Pragnął łaskawie karmić dzieci ziemi.

Tylko że ludzkość nie widziała ula,
W którymby miody motyle składały;
Więc jej obietnic słodycz nie rozczula:
Toć ich okruchów ma już lamus cały!
A nikt z tych szczątków stłuczonych nadziei
Nawet marnego pół-szczęścia nie sklei.

Pozbyła się już noworocznych złudzeń,
Nie da się uśpić zwodnym obietnicom,
Woli bezsenność od ciągłych przebudzeń
I wie, że bardziej przystoi jej licom
Trzeźwa powaga, twardy wyraz woli,
Niżli dziecinna ufność w zmianę doli.

Ufa, lecz w Boga i we własne siły,
I mówi: Człecze, nie imaj się mrzonek,
Lecz od kolebki do samej mogiły
Dobrem zapełniaj każdy życia dzionek,
Módl się a pracuj uczciwie, niebożę;
Pomóż sam sobie — Bóg ci dopomoże!

G. C.

POŻEGNANIE.

Bądźcobądź, należy go pożegnać, kiedy już odchodzi.

— Kogo?

— Tego któregośmy przed rokiem tak czule witali, w mniemaniu, że przyniesie nam puszkę Pandory, róg obfitości, że nas darami fortuny obsypie. Zawiódł nas sromotnie, nie dał nic, prócz kłopotów, a jedyną jego zasługą, jak się zdaje, jest to, że się nareszcie skończył i odszedł w krainę wieczności, z ktorej już nie powróci.

— Odszedł potępiony bezwzględnie, nie zostawiwszy po sobie żalu, nieopłakiwany przez nikogo. Biedny 1890! a jednak miał i on swoje zasługi; niewiele wprawdzie ludzkości dał, ale dużo jej zabrał a czasem zabór znaczy więcej, niż dar.

— Paradoks!

— Nie, nie paradoks, ale prawda. Rok 1890 przyniósł kongres anti-niewolniczy i wynalazek Kocha.

— Pierwszy nie wyszedł dotychczas ze sfery dyskusyj i narad i nie zniósł handlu biednymi Murzynami, drugi nie wyleczył dotąd ani jednego suchotnika, ale natomiast kilku z całą skutecznością na tamten świat wyprawił.

— Zapewne, lecz kto wie, czy Koch wynalazku swego nie udoskonali, a wtenczas...

— Długo na to czekać trzeba!

— Może i nie... teraz wszystko idzie szybko, jak przystało na epokę, w której para, chluba tego wieku, zaczyna się starzeć i lada chwila ustąpi miejsca elektryczności, na epokę, w której ludzie kuszą się o znalezienie czwartego wymiaru, kierowanie balonami, w której niezrównane armaty Kruppa są zagrożone, bo chemicy pracują nad wynalezieniem pocisków gazowych, aby odrazu obezwładniać i usypiać stutysięczne armie. „Fin de siècle," to nie żarty. Postęp chodzi w legendowych butach, cokrok to siedm mil, a właściwie nie siedm, ale siedmset siedm tysięcy czyni. Kto może przewidzieć, co dzień jutrzejszy przyniesie? Dziś wiesz, że przedmiot, który masz przed oczami, jest długi, szeroki i wysoki, jutro dowiesz się może, że jest on jeszcze jakiś, dziś wiesz, że są na świecie ciała stałe, gazowe i lotne, jutro możesz usłyszeć, że znalazło się jakieś nowe, jakieś coś, co nie jest ani twardem, ani stałem, ani płynnem, ani lotnem, coś zupełnie nowego. Dziś przynosi ci telegram wiadomość, że Koch zwalczył suchoty, jutro możesz się dowiedzieć, że już nie istnieją wcale żadne choroby. Stawisz się przed fakultetem lekarskim i tam mężowie uczeni podług listy dolegliwości ludzkiej zaszczepią ci wszelkie istniejące choroby. Będziesz podziurawiony jak sito, utatuowany jak pierwszy elegant hotentocki, ale zato zyskasz nieśmiertelność i nigdy nie umrzesz, o tyle ma się rozumieć, o ile się wypadkowo nie utopisz, o ile nie przejedzie cię na śmierć dorożka, nie struje generalny sos w restauracyi. Niema racyi źle wspominać o roku ubiegłym: był on godnym synkiem swego ojca, godnym następcą swego poprzednika. Protegował naturalizm w sztuce, piekielny wrzask w muzyce, impresyonizm w malarstwie, opisy przydeptanych pantofli w beletrystyce. Kochał się w brzydocie, tak jak jego pradziadowie kochali się w pięknie. Dał światu dzielnego Mac-Kinleja, strzegł pilnie wszystkich furtek i bram granicznych, z oficyalnego Stoeckera zrobił prywat-antysemitę, protegował wyrób oleomargaryny, dzikim Afrykańczykom posłał Emina-baszę, Stanleya, Wissmana z całym aparatem cywilizacyjnym, zawartym w beczkach i okseftach.

— Nic mnie to nie rozczula. Co mnie interesują Mac-Kinley, Wissman, Chińczycy, cały świat!? Wiem tylko, że rok 1890 nie dał nam nic.

— A przepraszam, jeżeli koniecznie chodzi o to...

— Więc?

— Dał... wcale nieszczególny urodzaj.

— Ładny prezent... ale cóż więcej?

— No, dał tak zwaną „stagnacyą,"... bankructw bez liku, projektów bezkońca. Łyknął „Kłosy," zakąsił „Tygodnikiem powszechnym," rzucił w świat miliony prospektów, ogłoszeń, obietnic, zobowiązań, które ma realizować jego następca. Obiecał Warszawie świetnie odnowiony teatr, centralny dworzec kolejowy, bulwary nad Wisłą, trzeci most, rozesłał po wsiach agentów-namawiaczy do emigracyi. Czyż jeszcze mało, niepoprawny pesymisto?

— Wszystko to głupstwo, mój przyjacielu; ja zdania nie cofam i kontent jestem, że się ten rok skończył, może w ostatniem dziesięcioleciu wieku XIX-go...

— Przepraszam, dobry panie, rok 1890 jest najświetniejszy w szeregu ostatnich.

— Jaki?

— Najświetniejszy, stanowczo.

— Żarty!

— Nie, i godzi go się pożegnać godnie, sylwestrowskim balem, szampanem, muzyką...

— Mnie nikt do tego nie namówi.

— Namówię ja.

— Zobaczymy.

— Owszem, przyjdziesz i toast pożegnalny wygłosisz, bo warto!

Żegnaj nam, żegnaj dobry roku, który
Giniesz już dla nas, wedle praw natury,
Nikt z nas na ciebie, biedaku, nie sarka,
Niewiele dałeś, lecz wziąłeś... Bismarka.

Kl. J.

Z TYGODNIA.

Dzieląc się od lat tylu chlebem ducha i myśli z wami, czytelnicy, jednocząc się w treści wspólnych sobie zasad, marzeń i ukochań, „Tygodnik" ma prawo — jak sądzę — na mocy nawiązanych nici zobopólnej sympatyi, stanąć dziś w gronie życzliwych i pod każdą strzechą, do której dochodzi, przełamać się opłatkiem uczuć bratnich... Ma prawo, z tą okruszyną chleba białego w ręku, życzyć wam przy wigilijnym stole, by uczta braterstwa zgromadziła zawsze wszystkich, sercem zjednoczonych, by „gwiazdka" w stałą gwiazdę szczęścia zmieniła się dla was.

Ma prawo przytem, wobec tradycyjnego obchodu, opartego na religijnym symbolu, złożyć hołd kobiecie, bo ona to jest jedyną uczuć tych i tradycyj strażniczką. My, zmuszeni niejednokrotnie używać w sprawach niewieścich właśnie ostrza satyry i szyderstwa, tu chylimy czoło przed rodzinnemi jej przymiotami. Wobec bowiem takich, jak dzisiejsza, pamiątek, będzie ona dla nas zawsze westalką, Znicza strzegącą... Możemy też jedynie powtórzyć słowa francuzkiego poety: *„Ange par l'mour, enfant par la foi, femme par le coeur et poëte par les rêves...* to ona.

Z wytwornem tem a trafnem określeniem łączy się noworoczne życzenie, jakie wam, czytelniczki, składamy. Oto nie zatracając cech tych, bądźcie zawsze połączeniem kobiety i anioła, miłości i wiary, lecz równocześnie wzmacniajcie ducha waszego w krynicy wiedzy, uzbrójcie go w pancerz rozumu i obowiązku, a pod strażą taką, Znicz, któremu dziś królujecie, nigdy nie wygaśnie.

A gdy was zniechęcenie opadnie, gdy znużone pracą bezowocną napozór i nie widząc natychmiastowych jej rezultatów, pochylicie kiedy ze smutkiem skronie, niech wam doda otuchy znany wiersz:

„Rozumie ludzki! tyś mały przed Panem,
Tyś kroplą w Jego wszechmogącej dłoni,
Świat cię niezmiernym zowie oceanem,
I chce ku niebu na twej wzlecieć toni.

A płomień wiary, którą niebo wznieca,
Topi twe krople, zapala twe gromy
I twe pogodne zwierciadła oświeca;
Ach! ty bez wiary byłbyś niewidomy!

A więc wiary w owoce wspólnej pracy, wiary i wytrwania na drodze skrzętnych zabiegów, a z nią energii, która zawsze każe iść naprzód! Niech przy ognisku waszem zapanuje nietylko spokój, należny ludziom dobrej woli, lecz i pogoda tych, którzy świadomie ku ukochanemu zdążają celowi!

A teraz, gdy po uczcie wigilijnej, gromadzicie się wszyscy około gorejącej, a strojnej w niespodzianki choinki, zechciejcie, proszę, zabrać i mnie tam z sobą. Wszak, jako kronikarz, łaskawi czytelnicy, zasługuję także... na pierniczek dobrej woli. Pierniczek ten należy mi się też tem bardziej, iż pamiętny radosnego nastroju chwili, przychodzę na jarzących gałązkach jedliny same dobre zawiesić wam wieści.

Oto tu, obok obrazka, przeznaczonego dla pana, czy pani domu, umieszczam skromną kartkę, obwieszczającą, iż odtąd będziemy mogli, przy małych nawet funduszach, ściany swoje w prawdziwie artystyczne zdobić płótna. Towarzystwo zachęty bowiem, nie mogące rozszerzać swej działalności, gdyż każdy grosz odkłada na budowę własnego gmachu, zostało w tych dniach magnacką obdarzone ofiarą. Pan Ludwik Temler, znany w szerokich kołach towarzyskich Warszawy, prócz wystawy obrazów swych, na ten cel przeznaczonej, ofiarował mu 20,000 rs., ubierając dar swój w formę nader pomysłową, dowcipną i praktyczną zarazem. Oto p. T. ma za sumę tę nabyć malowideł polskich mistrzów i artystów, dzieląc ją tak, by w zbiorze znalazły się prace zarówno firm głośnych, jak i mniej znanych, lecz zawsze wartościowe. Następnie wyjednawszy rządowe pozwolenie, o które już stosowne poczynione kroki, ofiarodawca puszcza zbiór ten cały na loteryą, obejmującą 50,000 biletów, po rublu każdy. Cel osiąga się tu podwójny: 1-o malarze zyskują za prace swe dużą sumę, co im się nie często zdarza; 2-o dom nawet najuboższy, który przy trosce o chleb nie ma funduszów na uprawianie sztuk pięknych, może za rubla wygrać rzecz wartościową, kształcącą smak estetyczny i zamiłowanie do piękna, co wpłynąć także powinno na późniejszy ruch artystyczny. 3-o Tow. zachęty zyskuje 50,000 rs. na budowę własnego gmachu. Złączone ze świeżo zatwierdzoną a hojną również ofiarą Hilchen'a (40,000) i drobniejszemi złożonemi już sumami, fundusze te zapewniają nam własną galeryą. Nie błąkając się odtąd po najętych oficynach, straci ona charakter tymczasowości i stanie się zawiązkiem takiego może wiedeńskiego Belwederu, który, skromny w porównaniu z innemi zbiorami europejskiemi, zazdrość jednak przy zwiedzaniu w nas budzi.

A więc wszyscy bierzemy bilety na artystyczną loteryą p. Temlera. Na rok zaś przyszły u choinki tej, zamiast niemieckiego figla, swojski, śliczny zawiśnie obrazek. To taki stosowny, a celem swym w dumę nas wprowadzający podarek.

Zadużo zajmuję już czasu, kończę przeto wspomnieniem, iż działalność minionego tygodnia streścić możemy w jednem słowie: miłosierdzie.

„Gwiazdka", bazary ruchome, bazary spożywcze, rauty i zebrania, wszystko to miało na celu otarcie łez niedoli i upamiętnienie świąt tradycyjnych maluczkim. Zrobiliśmy bardzo niewiele, ale wszak poprawić się zawsze pora. Notując też jedynie charakter chwili, dalszy kierunek działalności podobnej składamy w ręce tej, która jako *ange par l'amour et femme par le coeur*, w kółku swem od najbliższych... do najmniejszych majątkiem i stanowiskiem, promienny uśmiech świąteczny roztoczyć potrafi.

Anatol.

WUJASZEK.

Rozległ się trzask z bata, psy zerwały się gwałtownie, zadudniły w oknach szyby i z głuchym turkotem powóz o angielskich resorach zatrzymał się przed gankiem. Nie spodziewałem się żadnego gościa i, powiedziawszy prawdę, nie byłem w usposobieniu zbyt uprzejmem w tej chwili. Od lat dwóch starałem się o rękę panny Róży, od lat dwóch wybierałem się do niej ze słowem stanowczem i zawsze jakieś licho na przeszkodzie mi stanęło. Jednakże, uderzywszy się w piersi, sam najwięcej byłem temu winien. Poprostu nie odważyłem się pannie „kocham!" powiedzieć. Niejednokrotnie nastręczały się ku temu bardzo dobre chwile, nierzadko ze słodkiego samnasam skorzystać można było, ale właśnie w takich godzinach zapominałem języka w gębie, zadawalniając się tylko cudnem spojrzeniem bławatkowych jej oczu. Dziś równie coś się podobnego przytrafiło. Godzinę całą siedzieliśmy nad stawem, sami, łowiąc ryby na wędki, które wciąż doskonale się brały. Ze trzy kwadranse minęło w zupełnem milczeniu: Rózia zdawała się niecierpliwić i zaczynała wtedy sama rozmowę, której przedmiotem w chwilach takich był zwykle mój wujaszek. Rzecz tedy szła o wujaszku, o jego charakterze, usposobieniu, zamiłowaniach, stosunkach, o Bóg wie zresztą o czem, ale nie o moich sprawach sercowych. Czasami zręcznym zwrotem chciałem na właściwy przedmiot rozmowę nakręcić, ale wtedy panna Róża, jakby ukarać mię chciała za to safandulstwo w tak ważnej sprawie, trwała uparcie przy dawnym toku rozmowy, drażniąc mnie tem niemiłosiernie. Długa upłynęła godzina, rybek nałowiliśmy poddostatkiem, o wujaszku wyczerpaliśmy wszystko i gdy miałem nakoniec uczucia swoje wynurzyć, stanął przed nami ksiądz kapucyn, który przed chwilą po kwestę zjechał. Zły, powróciłem do siebie, w samotności chciałem wieczór cały przepędzić, aż oto jakiś gość nie w porę w drogę mi wchodził. Niechętnie wyszedłem na spotkanie— i... zakrzyknąłem z radości.

Był to wujaszek!

Rzuciliśmy się w ramiona, całując się jak z dubeltówki.

Nie widzieliśmy się rok prawie. On mieszkał na Podolu, blizko granicy galicyjskiej, ja w zapadłej Ukrainie, a że to wówczas kolej nie przerzynała jeszcze tych ogromnych obszarów, widywaliśmy się raz tylko doroku, gdy zjeżdżał do mnie na święta Bożego narodzenia. Obecny więc przyjazd jego był dla mnie prawdziwą niespodzianką, a w dzisiejszem utrapieniu mojem niemal deską zbawienia. W jednej chwili myśl mi do głowy przyszła, by wezwać go do pomocy. Niech rusza w dziewosłęby, powie to czego ja dotąd nie mogłem, a że gracko się sprawi, byłem pewny, bo człek bywały, nie z jednego pieca chleb jadał, wojaczką się bawił, a choć czterdziestu pięciu lat dosięgał, iście młodzieńczą miał werwę.

— Z nieba mi spadłeś, panie wuju — wołałem, sadzając go na wygodnym fotelu i traktując prastarym węgrzynem.

— Albo co?... — zapytał, biorąc puhar do ręki.

Stuknęliśmy się.

— Ot co — popijając doskonałe winko, zacząłem. — Wujaszek pamięta pannę Różę?

— Jeszcze jak! Przecie rok temu tańczyłem z nią kontredansa, na balu u Rydzymińskich.

— Musisz mnie wujaszku wyręczyć i jutro zaraz ruszyć w oświadczyny.

— Tak? — zapytał, nalewając drugi kieliszek węgrzyna.

— Ja nie mam odwagi powiedzieć, że ją kocham. Coś mi zawsze knebluje usta, jak tylko sam z nią zostanę, i kiedy mi się dzisiaj nie udało, to już doprawdy, że o przyszłości wątpić zaczynam. Chcę więc wujaszka prosić, by wyręczyć mnie raczył. Dla wujcia to trudnem nie będzie, prawda?

— Naturalnie, nie takie fortece zdobywałem! Każ jegomość na jutro elegancko mi czwórkę przygotować, a ręczę za sukurs.

Rzuciłem się drogiemu wujaszkowi w ramiona.

Było blizko północy, kiedy rozmarzeni węgrzynem udaliśmy się na spoczynek. Kazałem wujaszkowi piernat posłać, który zresztą wnet za okno wyrzucony został; dałem mu adamaszkową kołdrę, ale okrył się prześcieradłem, kołdrę zaś koło łóżka w miejsce dywanika położył, o którym zapomniałem.

Nie spałem noc całą, wujaszek zaś cudownie chrapał. Koło godziny dziesiątej zrana, wypiliśmy strzemiennego i moje gniadosze kochanego swata do panny Róży uwiozły.

— Wujaszku, spraw się dobrze! — wołałem mu na odjezdnem.

— Bądź spokojny! — odrzekł już z powozu i ruszył.

Do Czubinia niespełna dwie mile było. Około godziny dwunastej wujaszek przybędzie na miejsce przeznaczenia, obiad nieco czasu zajmie, później zwykła towarzyska pogadanka, następnie do panny Róży się zbliży, a że od herbaty nie puszczą, więc około godziny jedenastej wieczorem dopiero z powrotem będzie.

Byłem niespokojny, czas mi się okrutnie dłużył. Zaszło słońce, ekonom przyszedł po dyspozycyą na dzień jutrzejszy, załatwiłem się z nim prędko i usiadłszy na ganku od wjazdu, oczekiwałem powrotu wuja.

Zaturkotało.

On!

Nie, ksiądz kwestarz przyjechał.

— Po barany — wołał, zsiadając z wózka — o których mówią sąsiedzi, że jak cielęta wyglądają.

Śmiał się i oczywiście został u mnie na wieczerzę i na noc.

Spożywaliśmy dary Boże o spóźnionej nieco godzinie, bo na wujaszka czekałem, któremu widocznie nie szło tak łatwo, jak to się nam zdawało. Zegar północ wydzwonił, daremnie słuch wytężałem, noc była cicha, wieś spała. Udaliśmy się na spoczynek. Zapiały pierwsze kury, ja oka nie zmrużyłem. Po rannej kawie ksiądz kwestarz odjechał, dzień minął, drugi wieczór nadszedł, wujaszka nie było.

Byłem dziwnie zirytowany. Zburczałem ekonoma, stajennemu w kark dałem, ale to nie na wiele się zdało. Nadszedł dzień trzeci oczekiwania i niepokoju.

Siedziałem na ganku, popijając kawę i tworząc rozmaite kombinacye z tak długiej gościny mojego swata u rodziców panny Róży.

Mieliżby oni co przeciwko mnie? Zdaje się że nic. A panna Róża? O nią byłem zupełnie spokojny. Prawdopodobnie wujaszek zaczepił o intercyzę ślubną, bo to człek praktyczny, i wziąwszy się do poruczonego sobie interesu, jaknajsumienniej we wszystkich obrabia go szczegółach. Słowem chce wszystko tak urządzić, żeby mnie zadowolnić zupełnie, a znając moję wrodzoną nieśmiałość (bo rzeczywiście o posagu nie mógłbym nigdy wspomnieć), różami mi drogę ściele. Poczciwy człowiek!

Rozrzewniłem się i mimowoli wyjąwszy chustkę z kieszeni surduta, oczy zwilgotniałe nieco otarłem.

Nagle doszedł do moich uszu turkot resorowego powozu. To on! Wali moja czwórka gniadoszów wyciągniętym kłusem, Iwaś rznie z bata, wujaszek rozparty siedzi, wąs kręci, a uśmiech dobry porusza mu usta.

Nakoniec! nakoniec!...

Powóz zatoczył się pod ganek... otworzyłem ramiona.

— Wujaszku, a jak?...

— Doskonale!...

— Oświadczyłeś się?...

— Ma się rozumieć.

— I cóż? zostałem przyjęty?...

— Jakto, *zostałeś* przyjęty?—zapytał, wyprostowując się nieco...—To ja zostałem przyjęty...

— Co?

— Udałem się jak w dym do panny Róży i w parę minut interes ubiłem.

— Wujaszek? — krzyknąłem przerażony.

— Pokombinujmy się — rzekł. — Chciałeś, żebym ciebie wyręczył i to mi się w zupełności udało. Zwlekaniem swojem znudziłeś pannę, a kobiety tego nie lubią. Zresztą ja tobie powiem otwarcie, żem się wciągu dziesięciu minut lepiej podobał, niż ty przez dwa lata. Kobiety mają rozum i... i... safandułów nie lubią. Uważasz, mój kochany?...

Zauważyłem to jeszcze lepiej, gdy we trzy tygodnie odbył się ślub mego wujaszka z panną Różą... I jak się pokazało, sam sobie i tutaj sprawę popsułem. Przez całe dwa lata bawiłem pannę Różę opowiadaniem o różnych zaletach wujaszka i urósł w jej oczach na takiego bohatera, że patrząc na mnie, myślała o nim i gdy się zpoczątku w imieniu mojem oświadczył: „Wolałabym pana!" — szepnęła.

Wujaszek po wojskowemu zmienił front i niebroniącą się zajął redutę.

Teraz mam bardzo ładną wujenkę, a wujenka tęgiego chłopaka, którego mi do chrztu kazano trzymać, bo, jak Pana Boga kocham, że żonie tego uczynić nie chciałem!

Kazimierz Gliński.

POLYHYMNIA.

IV.

Wierzajcie mi, iż mimo zapału ożywiającego mnie, zacząłem w ostatnich tygodniach utyskiwać na muzykę.

Co prawda, obwiniać można w obecnym razie nie samę sztukę, bo ona zawsze i niewzruszenie stoi na wysokościach, do których piąć się godzi wedle chęci. Sztuka obfitą być musi w swych objawach, lecz brać z niej trzeba dla użytku ducha tyle tylko, ile ten duch znieść jest wstanie.

Weźmy na przykład owę sławną Galeryą drezdeńską, gdzie nagromadzono tysiące dzieł i arcydzieł. Jeden pójdzie i obejrzy obrazów setkę, poczem opuszcza ów przybytek malarstwa, nie znużyw-

szy się ani fizycznie, ani duchowo. Inny wszelako chce wszystko naraz pochłonąć i siedzi pięć godzin, oglądając legion obrazów, wskutek czego czuje się rozdrażnionym i zupełnie wyczerpanym. Jest-to objaw przesytu duchowego, równie zły, jak przesyt ze zbytku jedzenia.

Koniec Listopada i początek Grudnia odznaczały się nadmiarem koncertów. Wspominałem już dawniej o tem, jak trudno jest w Warszawie zapełnić salę koncertową, bo zbyt mała ilość osób lubi tego rodzaju zabawę. Mówiłem też i o tem, iż się na koncertach spotyka zwykle te same twarze.

Pytam się teraz, zkąd wziąć słuchaczów na cztery koncerty w jednym i znowu cztery w drugim tygodniu? Czyż podobna dziwić się, że, z małym wyjątkiem, na tych koncertach nie bywało tak pełno, jak się tego spodziewać należało?

Między publicznością bywają wszakże osoby, zmuszone wysłuchać — bez skrzywienia się — wszystkich bez wyjątku koncertów. Do takich należą przedewszystkiem biedni sprawozdawcy. Musiałem więc i ja dla wielu powodów znajdować się na wszystkich tych popisach, wynosząc to przekonanie, że niezawsze jest rzeczą wygodną i przyjemną chodzić na jakąś zabawę z obowiązku, lub mimo swej chęci.

Was jednak nic nie obchodzą moje refleksye i pewnie pragnęlibyście się dowiedzieć, co się też działo w różnych salach koncertowych?

Wolałbym, co prawda, opowiadać o czem innem, na przykład o wielu nadobnych słuchaczkach, ozdabiających owe koncerty, ale piękne oczy nie mają nic wspólnego z piękną muzyką, a sługa wasz obowiązany jest zdawać sprawę nie z tego co widział, lecz co słyszał.

Nie myślcie wszelako, abym lekceważył wypadki ostatnich tygodni, wydarzone na polu muzyki. Takim znów przeniewiercą nie jestem. Zataić mimo to nie mogę, że zbyt wiele miałem do czynienia z popisami wirtuozowskiemi i, co gorsza, zmuszony byłem słuchać utworów znanych i potężnie ogranych.

Szanuję bardzo dzieła wielkich i uznanych mistrzów, ale z chęcią zgodziłbym się na wykreślenie, na czas pewien, z programów koncertowych niektórych utworów, powtarzanych bez końca i miary.

Wirtuozowstwo współczesne fałszywemi kroczy drogami. Nie obznajmia bowiem ogółu z postępem muzyki, nie zmusza publiczności do wsłuchiwania się w coraz to nowe, lub też dawne, ale mało znane rzeczy, lecz jeździ na repertuarze jednym i tym samym, bo... wyznajmy to szczerze... łatwiej mu daleko spodobać się udaje, gdy hasa na tak zwanym „paradnym koniu" to jest na dziele znanem ogólnie, a więc niewymagającem wtajemniczenia się w jego stronę duchową.

Słuchacz przeciętny nie zdaje sobie sprawy z otrzymywanych wrażeń; baczy tylko na to, czy wirtuoz w danem miejscu zagrał na przykład gamę tak prędko i równo, żeby go zadziwić, czy rozwinął taką siłę, żeby go porwać i olśnić. Jeżeli tedy artysta posiada doskonałą technikę i temperament, może być pewnym powodzenia, choćby nawet grał rzeczy do najwyższego stopnia oklepane.

Przez delikatność nie chcę wymienić takich artystów, ale, niestety, zanotować muszę, iż w ostatnich tygodniach prawie wszystkie koncerty nosiły tę cechę popisów na „paradnych" i ujeżdżonych należycie koniach.

Słyszałem na przykład „Erlköniga" pięć razy, a także nie obyło się bez obdarzenia publiki aryą z „Cyrulika" z wiekopomnym tekstem *Una voce poco fa*. Jest-to rzecz tak ośpiewana, że posłańcy nucą tę aryą na rogach ulic, dla zabicia czasu, a niektóre niańki używają jej w miejsce zwykłego „luli, mój maleńki" lub „A! a! kotki dwa!" do usypiania upartych bębnów.

Niestety, na mnie wywiera ta arya wprost przeciwny skutek. Gdy jestem śpiący, wnet trzeźwieję ze złości, przy dźwiękach tej sędziwej melodyi. Najlepszy mój humor znika przy tych istnie baltazarowych wyrazach: „Una voce poco fa." A jednak bezmyślność naszych nauczycieli śpiewu godną jest podziwu, gdy się widzi, z jaką skwapliwością śpieszy częstować publiczność takiemi oklepankami.

Ale dość tego utyskiwania nad okolicznościami, których odmienić niepodobna wobec zaśniedziałego konserwatyzmu. Czas już opowiedzieć wam coś o trzech zagranicznych fortepianistach, popisujących się kolejno w naszem mieście.

Dreyschock, Stevenhagen i Raisenauer występami swymi dowiedli, iż gra na fortepianie doszła już swego zenitu technicznego i że musi nadejść pora stanowczej, a ważnej zmiany kierunku wirtuozowskiego. Jaką ona będzie, dowiemy się, skoro w przyszłości pojawi się genialny reformator na tem polu; pewną jednak jest rzeczą, że wirtuoz taki *nie* technikę uważać będzie za cel swego powałania.

Zanim jednak to nastąpi, wyznać trzeba, iż gra wyżej wymienionych artystów zajęła bardzo sfery muzykalne naszego światka.

Dreyschock podobał się zpowodu wielkiej naturalności i prostoty. Stevenhagen znów zadziwiał wykończeniem tak doskonałem, iż grę jego pod względem techniki uważać trzeba za skończoność.

Mimo to Raisenauer został panem położenia. Przyszedł, zagrał i pobił wszystkich. Nie pomogły protesty niechętnych, nie pomogły też i filipiki wymierzone przez pewnego radykalnego nauczyciela muzyki przeciw recenzentom. Co do tego ostatniego wydarzenia, to istotnie mieliśmy na wiosnę bieżącego roku widowisko nie ladajakie. Przyjechał sobie pan Raisenauer dać u nas koncert, a przyjechał bez uprzedniej reklamy, bez blagi i w dodatku nawet osobiście nikomu w Warszawie nieznany. Wybrał sobie na pierwszy numer popisu *Karnawał* Schumana, niegrany przez jakie ośm poprzednich lat, ale zato wprzeciągu kilku ostatnich tygodni aż trzy razy. Niezbyt więc dobrze usposobiła naszych recenzentów względem nieznanego artysty wiadomość o czwartem wykonaniu Karnawału.

Lecz cóż powiecie? Raisenauer zaczął grać i grą swoją rozbrajał zachmurzonych przysięgłych. Oryginalność wykonania, temperament i wyborna technika przemówiły odrazu do uszu i serc nielicznych, ale doborowych słuchaczów koncertu. Nieznany przedtem wirtuoz okazał się być znakomitym artystą, wywołującym bezpośredni, więc nie sztuczny, zapał. Po owym ogranym Karnawale wywołano go trzy razy, a potem klaskano i wreszcie krzyczano tak zapalczywie, jak nigdy przedtem. Drugi, trzeci i wreszcie czwarty występ młodego wirtuoza spotęgowały tylko pierwsze wrażenie.

Niektórzy wszelako panowie od dawania lekcyj na fortepianie uważali w swej „nieczułej, ale niespokojnej dumie" za stosowne oblać publiczność i recenzentów strumieniem zimnej wody. Dalejże tedy mówić na wsze strony, a potem wreszcie i drukować w jakiemś piśmie zdania opiewające zarówno „blagę" Raisenauera i jego „lichą" grę, jako też brak znajomości rzeczy i płytki sąd recenzentów.

Bardzo to wygodny system! U nas prowadzi się polemikę zawsze w ten sposób, że nie walczy się dowodami, lecz mówi się przeciwnikowi: „aspan jesteś niedołęga, ignorant i t. p." Gdyby podobny sposób przekonywania wystarczał, to bezwątpienia recenzenci nasi musieliby złożyć broń, a Raisenauer nie mógłby się więcej pokazać w naszem mieście. Stało się tymczasem inaczej. Wirtuoz wystąpił dwa razy, wrażenie spotęgował, a jeżeli podobna, to jeszcze technikę wydoskonalił i nanowo wzbudził ten sam, a może jeszcze większy zapał.

I pocóż było tyle żółci i atramentu wylewać? Chyba stało się to wcelu, ażeby jeszcze raz dowieść, że prawdziwy a wyjątkowy talent musi znaleźć swych adwersarzy, dowodzących właśnie swemi protestami wartości tegoż talentu.

Zygmunt Noskowski.

PAMIĘTNIKI KSIĘŻNICZKI ARABSKIEJ.

PRZEZ

Emilię Ruete.

(Dokończenie.)

Raz jeszcze należy zaznaczyć jej uczciwość, że mogłaby chcieć nas zwieść, przedstawiając w fałszywych barwach towarzyszki młodości dla zdobycia naszego uznania. Nie uwierzylibyśmy zapewne, lecz musielibyśmy się zawahać — a to już byłoby dużo. Pani Ruete nie uczyniła jednak nic podobnego, przysłoniła tylko drażliwe strony swego opowiadania, jako osoba delikatna i dobrze wychowana: w Pamiętnikach niema wzmianki o występkach, a wiadomo czy na nich zbywa w haremie. Zresztą była dostatecznie szczerą, ażeby Eden, który chwali, wydał się naszym oczom wstrętnem piekłem, co ona dobrze rozumie, lecz usiłuje nas przekonać, że się mylimy i że szczęście tam właśnie się znajduje. Jest ona pełna odwagi — potworności nie przestraszają jej wcale. I tak na przykład wie dobrze, iż niewolnictwo—obecnie—źle jest widziane w Europie: daje nawet wyraźnie do zrozumienia, że filantropia gra tu niemałą rolę, a polityka główną — co być może że jest prawdą. Mimo to, bierze w obronę niewolnictwo i przytacza argumenta potężne swą prostotą i... egoizmem.

Ponieważ Arab nie pracuje, ktoś musi za niego pracować, a któżby to był, jeżeli nie Murzyn? Niewolnik zresztą szczęśliwy jest u muzułmańskiego pana, który stoi nierównie wyżej od panów chrześciańskich. Bije go, to prawda: ale to jego wina, bo czemu jest taki leniwy? Murzyn nie ma prawa próżnować, a niema na niego innego sposobu, prócz chłosty. Europejczycy wyobrażają sobie, że to coś bardzo strasznego, bo słyszą wycia i ryki, a tymczasem Salme nas objaśnia, że „Murzyni są tchórze, nieumiejący znieść cierpienia spokojnie." Robią oni „okropne hałasy" o kilka rózeg, zagraniczni konsulowie wdają się w sprawę, w której pada ofiarą Arab, zrujnowany skutkiem tego „i wspominający z utęsknieniem te czasy szczęśliwe, gdy przewrotne zasady Europejczyków nie miały nad nim władzy." Niewolnicy w Zanzibarze są w gruncie zadowoleni ze swego losu. Konsulowie przemilczają o ich wesołych twarzach (w chwilach gdy nie są chłostani) o dobroci z jaką panowie zachęcają ich, ażeby mieli liczne potomstwo, które jest żywą dywidendą właścicieli, o staraniach jakiemi otoczone są Murzyniątka. Konsulowie i kupcy europejscy

mówią tylko o złem, a sami kupują żółte lub czarne kobiety, które później, wyjeżdżając z kraju, sprzedają wraz z potomstwem: muzułmanin nie uczyniłby nigdy tego.

Cierpienia, na jakie wystawione są karawany niewolników, są istotnie prawdą i wielu z tych biedaków umiera w drodze. Pani Ruete pojmuje litość jaką w nas to budzi, współczuje z nami i nagle... zadziwia niespodzianym zwrotem. Oto proponuje, ażeby miłosierne damy, które z taką gorliwością wyrabiają na drutach ubrania dla Murzynów chodzących nago, zachowały trochę współczucia dla... zgadnijcie dla kogo? dla handlarzy niewolników! Przecież to są kupcy, którzy włożyli nieraz cały majątek w karawanę, podzielają z nią wszystkie trudy, głód i pragnienie, a których czeka ruina, jeśli towar wyzdycha; nikt zaś nie myśli o tem, żeby im nagrodzić straty. Chrześcianie stanowczo nie mają poczucia sprawiedliwości: niechżeby przynajmniej zgodzili się na stopniowe zniesienie niewolnictwa, niechby dali Arabom czas na wyszukanie innych sposobów, a przedewszystkiem niech się wyrzekną śmiesznej pretensyi do narzucania obowiązku pracy królom ludzkości. Księżniczka Salme nigdy nie będzie namawiała swoich współziomków, ażeby ugięli głowy przed tem okrutnem prawem. Ona sama zanadto cierpi od chwili, gdy zrujnowana przez niemieckich aferzystów, wlecze nędzny i upokarzający żywot.

Myślała o powrocie do kraju, lecz nie śmiała. Nadzieja zabłysła jej na wiosnę 1875 roku, gdy wyczytała w dziennikach, że brat jej, Sedżid-Bargasz, sułtan Zanzibaru, odziedziczywszy tron po bracie Medżidzie, wybiera się do Anglii. Był to ten sam brat, na którego korzyść spiskowała ona niegdyś; dla niego naraziła się na niełaskę i postradała najlepszych niewolników: niepodobna, żeby ją odepchnął, gdy się uda z prośbą do niego! Zresztą — rząd angielski, który tak uprzejmie oddał był niegdyś na jej usługi swój statek, nie mógł o niej zapomnieć. Pojechała do Londynu i przekonała się, że istotnie nie została zapomnianą. Wypadało obecnie z polityki rządu, ażeby zatrzeć wspomnienie tego dwuznacznego wypadku, niemiłego dla miłości własnej przyjaznego Anglii monarchy. Nie potrzebowano krępować się względem pani Ruete. Sir Bartle-Frere oznajmił jej szorstko, że rząd nie ścierpi, „ażeby gość jego był niepokojony nieprzyjemnemi sprawami." Wzamian obiecał jej złote góry dla dzieci, pod warunkiem, że powróci do Niemiec, nie usiłując widzieć się z bratem. Uwierzyła obietnicom, wsiadła na okręt; nie dostała nic i straciła do reszty „wiarę i zaufanie do ludzi." Pozbawiona nadziei, zgnębiona poczuciem swojej bezradności i złości ludzkiej, „pogrążona bez ratunku w kłopotach, których najokrutniejszy nie życzyłby wrogowi," biedna kibibi, którą natura stworzyła na to, żeby patrzyła w niebo, jak ptaszek, i jadła konfitury — powróciła z głuchą rozpaczą do swego łańcucha.

„Byłam wtedy—powiada—podobniejszą do automatu, niż do myślącej istoty."

Wówczas spisała swe Pamiętniki dla dzieci. Może ich przeznaczeniem także było cierpienie, nie należało ich zatem pozostawiać w mniemaniu, że świat cały jest brzydki i nudny; ażeby nie wpadły w bezbożne usposobienie, zwane przez ludy ucywilizowane pesymizmem, kiedy człowiek buntuje się przeciw woli Boga i bluźni przeciw Jego wyrokom. Dlatego matka opowiada im o słonecznych, szczęśliwych krainach gdzie spędziła młodość, o sprawiedliwych ludziach, którzy tam zamieszkiwali, i o szczęściu, które tam kwitło.

Ukończyła swoje zadanie. Raz jeszcze wzięła pióro do ręki, żeby opisać wydarzenie, które zrazu upoiło ją radością, a w rezultacie dopełniło dzieła jej moralnego unicestwienia. W roku 1884 otrzymała zdumiewającą wiadomość, że rząd niemiecki, dowiedziawszy się o jej gorącem pragnieniu odwiedzenia ojczyzny, oddaje na jej rozkazy statek wojenny. Rozumie się, że i tym razem polityka była w grze. Niemcy zaczęły obracać wzrok ku Afryce Wschodniej i wchodziło w ich plany pokazanie krajowcom córki sułtana, będącej niemiecką poddaną. Ludność Zanzibaru przyjęła ją z zapałem. Anglia odczuła cios i na zażalenie wniesione do sułtana, Sedżid-Bargasz wystąpił surowo przeciw objawom tego entuzyazmu, co było dolaniem oliwy do ognia. Ostatecznie pani Ruete nie wolno było widzieć się z rodziną, ani ze znajomymi, nie odebrała ani grosza z szesnastu spadków, do których miała prawo, lecz była witana przez lud okrzykami i Niemcy odwieźli ją do Berlina upojoną słońcem Afryki i wiwatami, z sercem przepełnionem wdzięcznością dla berlińskich opiekunów, którzy jej dali tyle szczęścia!

Po powrocie, dodała do swoich Pamiętników to olśniewające post-scriptum; i nagle wśród radosnego hymnu odzywa się dźwięk smutny. Spojrzawszy na kraj ojczysty oczyma renegatki, dojrzała jego niedoskonałości: wiele rzeczy niezauważonych dawniej dziś raziło ją i dziwiło, inne zaś oburzały — dlatego, że od nich odwykła. Cóż naturalniejszego dla wschodniego monarchy, jak przywłaszczenie sobie dobra będącego cudzą własnością? Sedżid-Bargasz stosował się do zwyczaju, a siostra wyrzuca mu to, jak zbrodnię. Cóż chwalebniejszego jak to, że naczelnik arabskiej rodziny pilnuje porządku i uległości? Sedżid-Bargasz dał własnoręcznie pięćdziesiąt kijów siostrze, posądzając ją, że się zakochała, nie pytając brata o zezwolenie, i pani Ruete nazywa go brutalem i tyranem. Co może być świętszego dla ucznia Proroka, jak straż nad haremem, żeby nie wykraczał przeciwko przepisom przyzwoitości? Sedżid-Bargasz schwytał swą faworytę na gorącym uczynku wymiany spojrzeń i ukłonów z jakimś Europejczykiem. Wybatożył ją za to tak, że umarła, i pani Ruete wydaje krzyki oburzenia.

„Kazał się potem modlić nad grobami swych ofiar!"—woła ze zgrozą.

Bardzo słusznie czynił: po wymierzeniu sprawiedliwości starał się ocalić dusze. Widocznie pani Ruete straciła zdolność rozumienia ducha świata afrykańskiego, a nie nauczyła się pojmować ducha europejskiej moralności. Do tego rozpaczliwego wyniku doprowadziła ją tryumfalna podróż, podjęta w 1885 roku.

„Opuściłam ojczyznę—pisze—Arabką od stóp do głowy i dobrą mahometanką. Dziś — czemże jestem? Obojętną chrześcianką i zaledwie przez pół Niemką!"

Doświadczenie na niej dokonane potwierdza to, cośmy już widzieli. Pomiędzy nami a Arabami jest niezgodność usposobień; ani czas, ani polityka, ani misyonarze nie mogą tego zmienić. Czy to wynika z różnicy ras, czy religii, mniejsza o to. — Księżniczka Salme dwadzieścia lat zastanawiała się dla czego nie może nas polubić, i dziś jeszcze nie rozumie powodów. Nie możemy się pogodzić, jej lud i my, bo zanadto różnimy się w pojęciu moralności i godności ludzkiej; zanadto wielki rozdźwięk jest w naszych wyobrażeniach o zadaniu ludzkości i o jej końcu—bo nasze hasła są różne. Hasłem Araba jest „Nieruchomość:" naszem zaś hasłem; „Naprzód!"

Nie może być zatem nic wspólnego pomiędzy nami.

DUSZA PIOTRA.

PRZEZ

JERZEGO OHNET.

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

(Dokończenie.)

VI.

Telegram wysłany przez doktora Dawidoff Piotr Laurier odebrał w dniu ślubu Agostina z córką bogatego dzierżawcy z San Pellegrino. Agostino dorobił się majątku i posiadał obecnie sześć tysięcy franków; panna młoda przynosiła mu w posagu dom i plantacyą drzew oliwnych. Młodzi ludzie kochali się od roku, lecz małżeństwo zawarte zostało pod warunkiem, że Agostino porzuci zawód marynarza. Piotr, prowadząc Mariettę, przypatrywał się z zajęciem malowniczym postaciom, składającym orszak ślubny, które później utrwalił w obrazie pod tytułem „Małżeństwo korsykańskie." Serce jego było spokojne, żaden cień nie zaćmiewał jego myśli; szczerze podzielał radość ludzi, wśród których odrodził się niejako. W chwili, gdy przybywali do San-Pellegrina, jakiś chłopczyna, okryty potem i kurzawą, doręczył telegram proboszczowi.

— To dla ciebie, moje dziecię—rzekł proboszcz, podając papier Piotrowi.

Laurier przez chwilę trzymał papier w dłoni, niechętnem okiem badając adres.

— Co to jest? — zapytał niespokojnie Agostino.

Laurier zwolna zerwał kopertę i przeczytał naglące wezwanie przyjaciela. Zbladł i zmarszczył brwi.

— Czy spotkało cię jakie nieszczęście? — zapytał Agostino.

— Nie — odparł, — ale muszę jechać natychmiast na ląd stały.

— Odjechać, teraz? — zawołał z boleścią Agostino. — Zaczekaj przynajmniej do jutra.

— Gdyby ci powiedziano, skoro byłeś po tamtej stronie morza, że twoja narzeczona cierpiała i mogła umrzeć podczas twej nieobecności, czybyś ociągał się z wyjazdem?

— Nie, masz słuszność — odparł Agostino ze łzami w oczach, ściskając rękę swego zbawcy.

— Nie chciałbym jednak odjazdem swoim zasmucać twej młodej żony i wszystkich, którzy okazali się dla mnie tak życzliwi. Pożegnaj ich odemnie i powiedz, że zapomniałem przy nich o zmartwieniach, które mnie omało o śmierć nie przyprawiły. Spokój i zdrowie wam zawdzięczam, twojej matce, która była dla mnie tak dobrą, twojej siostrzyczce, której wdzięk i tkliwość przypomniały mi młodą dziewczynę, na mnie tam oczekującą, a najwięcej tobie, poczciwy chłopcze, gdyż ty byłeś przyczyną, że zamiast w przystępie rozpaczy odebrać sobie życie, zapragnąłem żyć, aby ocalić ciebie. Przez ciebie uczułem się jeszcze związanym z ludzkością.

Nie, nigdy, ani w radości, ani w smutku nie zapomnę o was i myśl moja nieraz towarzyszyć wam będzie!

Agostino zalał się łzami.

— Powiedz mi, jakim statkiem najprędzej dopłynę do Marsylii?

— Cowtorek wypływa z Bastia wygodny statek, na którym szybko dostaniesz się do Marsylii — odparł Agostino.

— Bądź zdrów — dodał Piotr Laurier, — nie zapomnij o mnie i przyjmij podarunki, jakie ci przyślę z Paryża. Nie sądź żem ubogi, chociaż pozornie wydawałem się takim. Jeśli kiedy przyjadę tutaj, to nie sam, i będzie to dowodem, że odzyskałem szczęście.

Tu obydwaj rzucili się sobie w objęcia, jak owej nocy, gdy Piotr Laurier uratował marynarza z otchłani morskich. Rozłączyli się, płacząc i śmiejąc się zarazem.

Przybywszy do Bastia, Laurier przebrał się inaczej i westchnął, gdyż zdawało mu się, że żegna się nazawsze ze swobodnem, wesołem życiem, jakie wiódł tutaj, gdzie pracował dziesięć godzin dziennie, pod błękitnem sklepieniem niebios, oddychając balsamiczną wonią jodłowych lasów.

Gdy noc zapadła i księżyc srebrzystem światłem oświetlił góry i morza, Piotr, spoglądając na spokojne fale, szepnął:

— Powierzam się wam bez trwogi, gdyż nie lękam się tych, od których mnie oddalacie.

Wistocie nie obawiał się już uroku Klemencyi, natomiast przed oczami jego wyobraźni zjawiła się śliczna, dziewicza postać Julii. Łzy słodkiego wzruszenia napełniły jego oczy, usta jego wyszeptały ciche zwierzenie, a duch, przebiegając przestrzeń, dążył ku ukochanej. Nazajutrz wypłynął już z Bastia; wmiarę jak zbliżał się do Francyi, starał się odgadnąć przyczynę, dla której Dawidoff wezwał go do powrotu. Ogarniał go dziwny niepokój, zaczął się lękać jakiegoś nieszczęścia. Miałżeby wracać poto, aby być obecnym przy ostatnich chwilach życia biednej Julii? Wyciągał ręce w stronę ziemi, zazdroszcząc mewom skrzydeł. Roztargnionym wzrokiem spoglądał na urocze wybrzeże, którego ogrody kąpią swą zieloność w błękitnych falach morza, roztrącających się z łagodnym szmerem po złotawych piaskach. Z biciem serca ujrzał zdaleka połyskujące latarnie morskie w Marsylii i wysiadłszy na ląd, wysłał natychmiast depeszę do doktora Dawidoff. W godzinę później siedział już w pociągu kolei żelaznej i liczył niecierpliwie stacye, które mijał. Gdy pociąg zatrzymał się u celu podróży, pierwszą osobą, którą zobaczył Piotr Laurier, był doktor Dawidoff.

— Co się stało? — zapytał Laurier, chwytając za ramię wiernego przyjaciela.

— Uspokój się — odparł doktor. — Gwałtowne niebezpieczeństwo nie grozi jeszcze Julii.

Westchnienie ulgi wyrwało się z piersi malarza.

— A Jakób? — zapytał.

— O niego się właśnie lękam, a przytem sądziłem, że nagłe twoje ukazanie się mogłoby sprawić zbyt wielkie wrażenie na pannie de Vignes i dlatego chciałem, abyś najpierw zobaczył się zemną.

Wrzawa wielkiego miasta odurzała Piotra, który przywykł do ciszy i spokoju. Gdy zasiedli do obiadu, Dawidoff rzekł:

— Jeśli będziesz rozsądnym, uczynię coś dla ciebie.

— Jakto, czy mógłbym ją zobaczyć dziś jeszcze? — zawołał Piotr z nagłym błyskiem w oczach.

Dawidoff roześmiał się wesoło.

— Przynajmiej z tobą nie trzeba bawić się w zagadnienia — odparł. — Jestem tu już od początku tygodnia i przekonałem się, jak cudowny wpływ wywarło na Julią samo przypuszczenie o wątpliwości twej śmierci.

— A Jakób? — powtórnie zapytał Laurier.

— Jakób jest człowiekiem zgubionym. Miłość przewrotnej i uroczej kobiety popchnęła go w przepaść.

— I któż to jest ta kobieta? — zapytał Laurier, zwracając badawcze spojrzenie na doktora.

— Domyślasz się, że mówię o Klemencyi, która kochała go namiętnie, a teraz okazuje się chłodną jak marmur, podczas gdy on szaleje coraz bardziej.

— Nieszczęśliwy — odparł Laurier, — poświęcać się dla takiej kobiety!

— Czy w twojem sercu niema nic prócz litości dla niego?

— Jakto? czyżbyś mnie jeszcze posądzał o jakie inne uczucie? Upewniam cię, że oprócz gorzkiego żalu za popełnione winy i chęci naprawienia złego, niema w mej duszy żadnych innych uczuć. Gdybym się nie czuł godnym czystej i szlachetnej miłości, na którą wzajemnością odpowiedzieć mogę, nie zobaczyłbyś mnie tu, doktorze. Nie lękaj się więc niczego. Piotr Laurier, którego znałeś przedtem, umarł podczas pewnej burzliwej nocy, a człowiek którego widzisz przed sobą, choć ma tę samę twarz, ale posiada zupełnie odmienne serce.

— Co za szczęście!—zawołał Dawidoff wesoło.— Zdejmujesz mi ciężar z serca. Gdybym nie mógł był liczyć w zupełności na ciebie, nie wiem w jaki sposób wybrnąłbym z mojego przedsięwzięcia. Nie taję, że czeka cię wiele trudności, musisz jeszcze spotkać się z Klemencyą, aby wyrwać z jej szpon Jakóba. Teraz jednak myślemy tylko o pannie de Vignes.

Przy obiedzie Piotr opowiadał o swojem życiu w Torrevecchio i doktor przekonał się, że malarz jest wistocie zupełnie wyleczony ze swej niebezpiecznej namiętności. Około dziewiątej udali się razem do pani de Vignes, która odżyła nadzieją, widząc że córka cokolwiek odzyskuje siły. Dawidoff postępował z Julią nadzwyczaj ostrożnie, gdyż zbytnia radość równie szkodliwie mogła oddziałać na jej zdrowie. Zwolna budził się w jej sercu maleńki promyk nadziei, mówiąc że ludzie, najbardziej zdecydowani na śmierć, wahają się w ostatniej chwili; kto wie zatem, czy podobny wypadek nie spotkał Piotra? Julia, jak kwiat spragniony słońca, odżyła pod wpływem nadziei. Doktor spoglądał z zadowoleniem na przebudzenie się tej duszy zobojętniałej przed czasem do świata. Julia zaczęła ufać w lepszą przyszłość, ale lękała się nieraz przykrego przebudzenia. Gdyby to, co jej mówiono, nie było prawdą? Przypominała sobie jednak jedną okoliczność, a mianowicie, że nie znaleziono ciała Piotra. Zrana tego dnia, kiedy miał przyjechać Laurier, Dawidoff rzekł do Julii:

— Spotkałem się wczoraj wieczorem ze znajomymi, którzy we Włoszech widzieli się z naszym przyjacielem. Być może, że on niedługo przyjedzie do Paryża.

— Dlaczego nie mówisz mi pan wszystkiego? — odparła Julia. — Ja wiem, że on żyje, widziałam go dziś we śnie; smutek malował się w jego twarzy, w oczach błyszczały łzy. Pracował w kościele, malując święty obraz. Chciałam zawołać: „Dość już zmartwień, powracaj do mnie, Piotrze.” Lecz gęsta mgła wzniosła się między nami, usłyszałam pluskanie wioseł i szmer fal, wreszcie Piotr wynurzył się z cieniów i szedł do mnie z uśmiechem na ustach... Czuję, że musi być blizko mnie... Może już przyjechał do Paryża?

Doktor zostawił jej pytanie bez odpowiedzi, a gdy wieczorem zbliżył się w towarzystwie przyjaciela do mieszkania pani de Vignes, rzekł do tego ostatniego:

— Zostań na ulicy i patrz w to okno; jeżeli ja się w niem ukażę, możesz wejść śmiało tam, gdzie czekają cię z upragnieniem... Ja pójdę przygotować Julią.

Malarz, zostawszy sam, uczuł się głęboko wzruszony, radość przepełniała jego serce, wzniósł do nieba dziękczynne spojrzenie i czekał cierpliwie. Przypominał sobie nieśmiałą miłość dziewczęcia i cierpienia, przez jakie przeszła biedna Julia.

— O! będę się starał wynagrodzić jej wszystko! — powiedział sobie w duchu.

W tej chwili w otwartem oknie ukazał się doktor Dawidoff, wzywając go ku sobie ruchem ręki. Laurier nie wiedział, w jaki sposób przebiegł sień i schody, otworzył drzwi do salonu i znalazł się wobec Julii. Dziewczę uśmiechało się przez łzy i wreszcie głośnem wybuchnęło łkaniem. Piotr rzucił się ku niej z okrzykiem radości, a pani de Vignes i doktor wysunęli się cicho z pokoju, nie chcąc im przerywać uroku tych chwil upragnionych.

— Moi przyjaciele — rzekł wreszcie Dawidoff, wchodząc do pokoju, — dotrzymaliśmy wam słowa, dając wam szczęście. Ale najlepszych rzeczy nie należy nadużywać, dlatego też i wy rozłączyć się musicie, gdyż panna de Vignes nie może męczyć się zbytecznie.

Julia wyprosiła jeszcze kwadrans rozmowy i matka, widząc radość błyszczącą w jej oczach, nie mogła opierać się życzeniu dziewczęcia

— Jutro nie przyjdziemy tutaj — rzekł doktor przy pożegnaniu, — musiemy jechać do Trouvile ratować Jakóba.

Julia z wdzięcznością spojrzała na doktora.

— Uczyń pan dla niego to, coś uczynił dla mnie— rzekła z prostotą.

. . . .

Klemencya wyprawiała wspaniałe śniadanie, na którem najbardziej chmurnym i najmniej dowcipnym gościem był Jakób de Vignes. Siedział on milczący i niezadowolony, wreszcie, podnosząc wgórę kieliszek szampana, zawołał:

— Piję za zdrowie nieobecnego... Piotra Laurier.

Nie zdołał jednak podnieść do ust kieliszka, gdyż przerażony, błędny wzrok jego skierował się ku tarasowi, a stłumiony okrzyk wyrwał się z piersi. Ten, którego wezwał, zjawił się na tarasie w towarzystwie doktora Dawidoff. Zimny pot wystąpił na czoło Jakóba.

— Piotrze! Czego chcesz odemnie? — zawołał.— Wiesz, że dla nas dwóch niema miejsca na ziemi!... Jeśli ty żyjesz, ja muszę umierać!

Kończąc te słowa, upadł bez zmysłów na podłogę. Doktor z pomocą Piotra dźwignęli go i wynieśli do oczekującego na nich powozu, nie chcąc ani chwili dłużej pozostać w domu Klemencyi.

. . . .

Od trzech miesięcy Julia jest szczęśliwą żoną Piotra. Młoda kobieta odzyskała siły i zdrowie; Piotr ma mnóstwo zamówień i pracuje gorliwie. Lecz biedny Jakób coraz stawał się słabszym, nie skarżył się jednak i spokojnie oczekiwał śmierci.

Z dawnej jego piękności nie pozostało ani śladu. Siostrę witał zawsze radosnym uśmiechem.

— Powinienem prosić cię o przebaczenie—rzekł raz do niej. — Byłem tak nieszlachetnym, że nie dzieliłem twej boleści po domniemanej śmierci Piotra, ale cieszyłem się egoistycznie, że żyję jego życiem, wiedziałem, że i ty pójdziesz za ukochanym, a jednak nie litowałem się nad tobą. Teraz, gdy stoję nad grobem, muszę prosić cię o przebaczenie. Powiedz, że wspominać mnie będziesz z litością!

— Ty nie umrzesz, Jakóbie! — ze łzami zawołała młoda kobieta.

Lecz Jakób przecząco wstrząsnął głową. Nawet wyjazd na Południe nie zdołał go już ocalić i wkrótce spoczął snem wiecznym po wszystkich ziemskich cierpieniach. Zwłoki jego pochowano na wzgórzu niedaleko willi Beaulieu, pod cieniem drzew pomarańczowych, a na kamieniu grobowym położono następujący napis:

„Tu spoczywa Jakób de Vignes, którego cierpiącą duszę Bóg przyjął do chwały Swojej."

KONIEC

Piśmiennictwo.

Przybytek tegoroczny wydań gwiazdkowych, przeznaczonych dla dzieci i młodzieży, nie jest wcale obfity, lecz zato... doborowy. Skurczyło się i zeszczuplało kółko piszących i wmiarę kurczenia się zbytu gwiazdkowego, który szczupleje od lat kilku, w gromadce tej pozostawały takie tylko siły, które na tem polu z pożytkiem i z powołania a miłości pracują. Z pewnością wyjdzie to na pożytek serc i umysłów młodocianych.

Przyjrzyjmy się świeżemu plonowi, wskazując w niem tylko pełniejsze kłosy i ziarna pożywniejsze. A zacznijmy przegląd wedle starszeństwa... od historyi.

Więc najpierw **„Opowiadania ciotki Ludmiły o dawnych czasach i ludziach,"** skreślone przez Teresę Jadwigę, dobrze i zaszczytnie znaną na polu piśmiennictwa wychowawczego. Treścią książeczka ta nie przekracza granic dawnej Słowiańszczyzny, a sięga do czasów zamierzchłych pogaństwa. Kończy opowieść swą na w. XV. Nie stanowi ona wykładu systematycznego dziejów, ale szereg luźnie związanych, a szczęśliwie wybranych szczegółów i obrazów. Młody umysł znajduje w nich wzniosłe przykłady męztwa, poświęcenia, energii, a obok naukowego pokarmu i moralny. Dziełko napisane językiem pięknym, w formie dyalogowej, stylem poważne i dla wielu zalet cenne, a zaszczytnie przewodniczące tegorocznym wydawnictwom gwiazdkowym.

Z rzeczy, stanowiących wyłącznie a przynajmniej przeważnie *obrazkowość*, w dziale tym historycznym na podarki gwiazdkowe zalecają się **„Wizerunki królów"** Tytusa Maleszewskiego, które w tej chwili są tak świeże jak wówczas, gdy się poraz pierwszy ukazały, a niezawodnie nigdy wartości swej nie stracą.

Historyi także, ale już naturalnej, poświęcono najwięcej książek. Na czele ich postawić trzeba świeżo wyszły atlas p. t. **„Historya naturalna,"** z przepysznemi wizerunkami zwierząt, ptaków, płazów, ryb, z objaśnieniami napisanemi przez A. Dygasińskiego. Ryciny kolorowane, pod względem wierności i staranności wykonania, zalecają ten piękny zeszyt w formacie arkuszowym, jako cenny nabytek w gałęzi piśmiennictwa naukowego, dosyć wogóle zaniedbanej.

Nie z rysunków, ale z treści i systematycznego jej opracowania stoi wysoko **„Pierwszy rok kształcenia naukowego,"** napisany przez Pawła Berta po francuzku, a spolszczony przez J. J. Boguskiego i Adolfa Dygasińskiego. Przedmiotem tej książki są: człowiek, zwierzęta, rośliny, kamienie, a wreszcie fizyka i chemia. Rzecz jest tu traktowana bardzo obszernie, ale zarazem niesłychanie zwięźle i przystępnie. Obok wiadomości z nauk przyrodzonych, czytelnik spotka tu i wiele takich, które mają z niemi związek pośredni, o znaczeniu w życiu praktycznem, w zastosowaniu i spożytkowaniu nauki. Tym sposobem książka kształci i zbogaca umysł ogromnym zasobem umiejętności.

Pośrednio z naukami przyrodzonemi mają związek **„Przygody młodych podróżników"** M. J. Zaleskiej i **„Kopalnie króla Salomona"** H. Ridder-Haggarda, z których to dziełek czytelnik pozna ciekawe kraje Indyj Wschodnich, Ameryki południowej, puszcze i góry amerykańskie, ludy dalekie, całkowicie lub napół dzikie, zwierzęta, rośliny... całą przyrodę cudowną, olbrzymią, groźną, a nieznaną i niewidzianą, chyba we śnie. Do tej kategoryi książek należą w nowych edycyach wyszłe **„Opisy przygód podróżników po różnych częściach świata"** Wł. L. Anczyca, **„Robinson Kruzoe," „Robinson szwajcarski," „Przygody małego podróżnika w Tatrach"** M. J. Zaleskiej, które to wszystkie dziełka, prócz dostarczania obfitego materyału z nauk przyrodzonych, osięgają też różne cele wychowawczo-moralne.

Z beletrystyki młodocianej zalecamy dla młodzieży bardzo piękną powieść B. Porawskiej, pod tytułem **„W imię koleżeństwa."** Autorka wprowadziła tu do akcyi powieściowej bardzo dużo osób, malując dosadnie charaktery, prawie zawsze dodatnie, a wątek opowiadania snując żywo i niezmiernie zajmująco. Wiele tu epizodów wzruszających, wiele przygód niezwykłych a prawdopodobnych, a z całej powieści wieje serdeczne ciepło ukochania dla tych, którym się tę książkę daje.

Z różnych względów zalecają się też **„Goście ciotki Klotyldy,"** Moleswortha, i **„Dzieci Klanu,"** Joanny Hering, w przekładzie T. P., jako powieści bardzo zajmujące i dobrze napisane, których jednak nie należy zaliczać do rzędu dziełek ściśle i trafnie wychowawczych. Pedagogika zdrowo pojmowana ponosi od nich rozmaite szwanki wskutek usterek, których wymienienie w tej chwili nie byłoby na swojem miejscu.

Musimy tu wspomnieć jeszcze **„Tajemnice przyrody,"** M. Heilperna, jakkolwiek książka ta nie stanowi ściśle podarku gwiazdkowego. Ale dzieła takie w każdej porze roku zalecić trzeba i przy każdej okazyi. Nie jest-to nawet rzecz napisana dla dzieci, ani dla młodzieży, ale dla nauczycieli i wychowawców, którzy w niej znajdą poważną, gruntowną, niezmiernie umiejętną a ścisłą systematyczną pomoc w pracy.

Książka ta, napisana po polsku i bynajmniej nie tłómaczona, jak ktoś mylnie doniósł w jednem z pism codziennych, jest nabytkiem niezmiernej wartości, godnym największego rozpowszechnienia. Zalecamy ją gorąco... na dziś, na jutro, na każdą gwiazdkę, czy na każdy dzień roku.

Rz.

Z chwili bieżącej.

* **Kazimierzowi Kratzerowi** grono jego przyjaciół i wielbicieli szczerego talentu i cichych zasług nieboszczyka, zamierza położyć wspólnym kosztem kamień nagrobowy na Powązkach. Ś. p. Kazimierz był, jeśli się nie mylimy, ostatni z tego odłamu muzykalnej rodziny Kratzerów, który przed kilkudziesięciu laty, jednocześnie z kilkoma członkami równie muzykalnej rodziny Studzińskich, przeniósł się z Krakowa do Warszawy i na różnych stanowiskach służył godnie i uczciwie sztuce, którą ukochał.

* **Zakład sierot chłopców imienia Jachowicza** niebawem już rozszerzony zostanie. Na posiedzeniu komitetu, zajmującego się tą sprawą, odbytem w tych dniach w Towarzystwie dobroczynności, przewodniczący ks. M. Radziwiłł oznajmił zgromadzonym członkom, że kapitał zebrany na ten cel wynosi już 11,000 rs., że według złożonych deklaracyj wciągu roku 1891 wpłynie jeszcze 2,600 rs. i tyleż w r. 1892. Postanowiono tedy niezwłocznie powiększyć liczbę pupilów zakładu, który pozostanie wiecznym pomnikiem nieodżałowanego swego twórcy, tego prawdziwego „Przyjaciela dzieci."

Lista ofiarodawców opublikowana będzie zaraz po zwróceniu pojedynczych list przez osoby upoważnione do zbierania datków.

* **Ostrzeżenie.** Ponieważ tak zwany „koniak" (cognac) nietylko zużywany u nas bywa jako rodzaj wódki, ale coraz częściej wchodzi w użycie jako środek leczniczy, przeto nie od rzeczy będzie publiczność naszę zaznajomić z okólnikiem, jaki świeżo rozesłała zwierzchność miasta francuzkiego Cognac'u, ojczyzny prawdziwego koniaku. Okólnik ten ostrzega, że do Cognacu fabrykanci spirytualiów z różnych stron Francyi masami nadsyłają swoje fabrykaty poto, żeby, tam opakowane i ztamtąd wyprawione, nosiły na sobie stempel rzekomej oryginalności. Tymczasem są to najczęściej najobrzydliwsze miszkulancye, kolorem tylko do koniaku zbliżone, zaopatrzone w etykiety firm fikcyjnych, nigdy i nigdzie nieistniejących. Z okazyi tych firm miejscowa poczta ma niemało kłopotu; ze wszystkich stron bowiem świata nadchodzą reklamacye od oszukanych konsumentów, z któremi urząd pocztowy nie wie co robić, gdyż adresatów oczywiście znaleźć nie może. Z tego wszystkiego wynika, że koniak, mianowicie na cele kuracyjne, nabywać należy tylko z firmami znanemi i tylko u pewnych firm miejscowych.

* **Popioły księdza Adama Jakubowskiego** doczekają się nareszcie zasłużonego pomnika. Tutejszy artysta-rzeźbiarz, p. B. Holtz, wykończa popiersie nieboszczyka, które ma być umieszczone nad grobem jego na cmentarzu Powązkowskim.

G. Cz.

Odpowiedzi od redakcyi.

Parafiance. Z listu pani nie możemy odgadnąć, czy wybiera się pani na bal istotny, czy też wieczór tańcujący podciąga pani pod nazwę balu? Względnie więc do świetności projektowanej zabawy stosować trzeba tualetę. Na bal na prowincyi osoba 40-paroletnia nietańcząca, lecz tylko wprowadzająca córkę, może wziąć toaletę pół dekoltowaną, z trenem choćby niezbyt długim, z kolorowej materyi lub czarną strojnie przybraną. Córka 19-letnia może mieć suknię niekoniecznie białą, ale stanik musi być wycięty. Tren dla młodziutkiej panienki do tańca zupełnie niepotrzebny.

Mężczyzna idący na bal bezwarunkowo musi być we fraku, choć już nie tańczy. Obecnie frak tylko na wizyty a nawet zebrania wieczorne zastępowany jest ubraniem nowego fasonu, przypominającego żakiety—ale na wieczory a tembardziej bale nic go zastąpić nie może.

☞ Do dzisiejszego n-ru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami, Spis rzeczy zawartych w „Tygodniku mód i powieści" w roku 1890, oraz prospekt „Tygodnika illustrowanego."

Дозволено Цензурою. Варшава, 10 Декабря 1890 г.

Redaktor i Wydawca Emil Skiwski.

Druk Emila Skiwskiego, Warszawa, Chmielna № 26.

Dodatek.

Opis do N-ru 52.

N. 1—2. Sukieneczka wełniana spodnia dla dziecka.

Materyał: włóczka gobelinowa ponsowa, trochę włóczki białej angielskiej. Jak to widać na r. 1 staniczek i spódniczka robione są odmiennie, bardzo łatwą robotą szydełkową. W staniku zaczętym łańcuszkiem z o. pow. robi się naprzemian 2 sł. 2 o. pow. i 2 sł. w spódniczce zaś grupy słupków liczą każda po 7 sł., jak to r. 2 przedstawia. Brzegi wokoło obrobione są ząbkami z białej włóczki.

N. 3. Dywanik futrzany ze szlakiem robotą krzyżową.

Liczy 155 c. długości a 100 c. szerokości i ma środek dany ze skórek kóz chińskich a szlaki 27 c. szerokie, ze stron podłużnych, liczą z brzegów poprzecznych tylko 10 c.; wyszywa je się na grubej kanwie włóczką angielską lub hamburgską, niezbyt jaskrawemi kolorami. Cały dywanik trzeba podszyć grubem szarem płótnem.



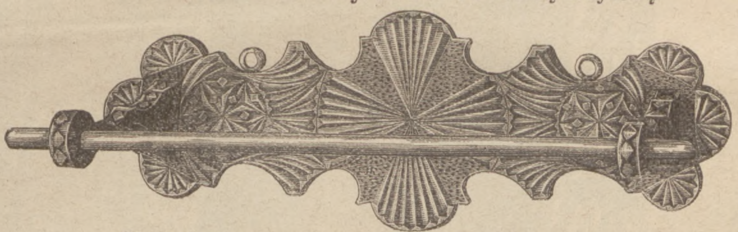
N. 3. Dywanik futrzany ze szlakiem robotą krzyżową.



N. 4. Stanik z kołnierzem Medicis do ryc. 25.



N. 1. Sukieneczka włóczkowa pod spód dla dziecka. Patrz ryc. 2.



N. 5. Wieszadło do ręcznika. Płaskorzeźba.



N. 2. Robota szydełkowa do r. 1.

N. 4 i 25. Suknia z trenem z brytów skośnych.

Spódnica podszewkowa kraje się zwykłą formą, zwierzchnia odznacza się zupełnie nowym fasonem, odpowiednim tylko do bardzo szerokich materyałów (około 110 c. szerokości). Materyał obraca się poprzecznie i spódnicę kraje podobnie jak się krajało okrągłe burnusy; szew wypada środkiem trenu, a dolne ocyrklowanie wymaga starannego wymiaru długości. Jak to widać na r. 25, suknia z przodu i z boków leży zupełnie gładko, a tylko tren układa się w fałdy rozszerzające się do dołu. Górny brzeg podszyty wypustką ze sznureczkiem (po daniu zaszewek w brycie przednim) a' fałdy zebrane rozetą szmuklerską. Stanik ma prawą połowę przodu fałdowaną i zachodzącą skośnie na lewą, podłużny wykrój szyi przy wysokim kołnierzu zapełniony fałdowaniem z różowej crêpe de Chine jak to wskazuje r. 4. Rękawy w górze bufiaste u ręki obcisłe i zapięte na guziczki.

N. 5. Wieszadło do ręcznika. Płaskorzeźba.

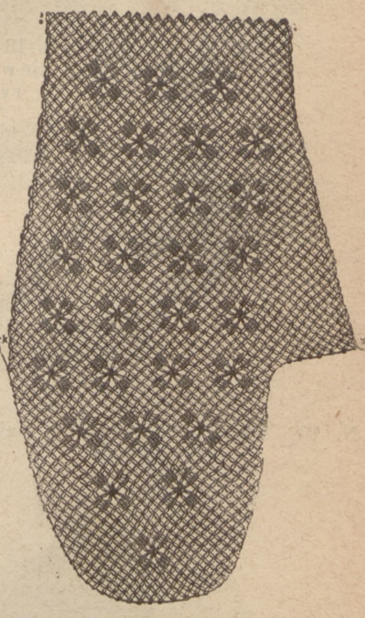
Odpowiednie do przybicia nad umywalnią, może być wyrzeźbione ręcznie, ułożywszy deseń podług r. 5 lub podług deseniu na płaskorzeźbę podawanych poprzednio. Gładki drążek przesunięty przez otwory w dwóch listewkach przyklejonych w końcach wieszadła, służy do założenia ręcznika.

N. 7 i 22. Płaszczyk z kamizelką.

Długiemu płaszczykowi z piaskowego sukna dodaje wiele ciepła kamizelka przyszyta do pleców i zapinana z przodu na kryte haftki, której wykrój szyi wszyty w kołnierz stojący 5 c. wysoki. Podszewkę płaszcza stanowi materya jedwabna w kratę, podwatowana i skośnie przepikowana. Kołnierz luksowy wykładany, 16 c. szeroki, przedłuża się zarazem w ranwersy, zwężone do dołu.

N. 8—9. Płaszczyk z marszczonemi plecami (douillette).

Model był z sukna niebieskawo zielonego, na wacie i podszewce atłasowej tego co sukno koloru; kołnierz wykładany z futra wydry. Wzdłuż przodu dana kontrafałda 4 c. szeroka, środkiem której zapięcie na czarne szmuklerskie guziki. W przecięcia do wyjmowania rąk wszyte są sukienne



N. 6. Rękaw do sukni ryc. 27. Robota wiązana.



N. 7. Płaszczyk z kamizelką. Patrz ryc. 22.



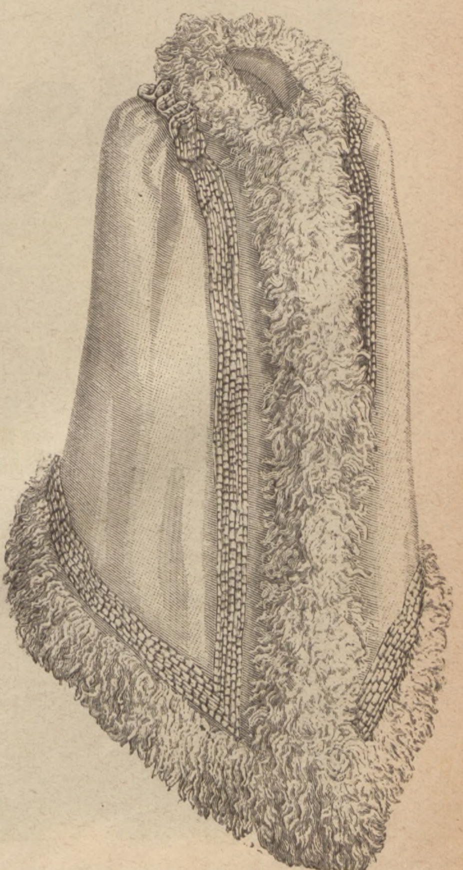
N. 8—9. Płaszczyk (formą douillete) z przemarszczeniem.



N. 10. Okrycie balowe z puszczanemi rękawami.



N. 11. Szkatułka pokryta skórą w deseń wytłaczany i malowany.



N. 12. Okrycie balowe.

rękawki podszyte atłasem, 90 c. szerokie, 11 długie, przemarszczone u góry na 4 c., wzdłuż przecięcia za rękawami naszyta czarna pasmanterya. Plecy płaszczyka krajane szeroko przemarszczone są wielokrotnie, jak to wskazuje r. 9; od spodu przyszyta wstążka wiązana w pasie.

N. 10. Okrycie balowe z długiemi otwartemi rękawami.

Dopasować je można podług formy danej w N. 46 przy r. 20. Zeszywszy z sobą przody, boczki i plecy dodaje się rękawy, wpuszczone w szew ramion i w wykrój szyi i przyszywa mocno brzeg rękawa namarszczonego na ramieniu, dalej brzegiem wykroju pachy



N. 13—14 Uczesanie wysokie. Patrz ryc. 15—16.

N. 15 Nawijanie włosów na pukiel do ryc. 13—16.

N. 16. Przepięcie pukla do ryc. 13.



N. 22. Płaszczyk z kamizelką. Patrz ryc. 7.

N. 23. Suknia z krótkim trenem. P. r 30.

N. 24. Suknia z przybraniem i rękawami robotą wiązaną. P. r. 6 i 27.

N. 25. Suknia z trenem skośno krajanym i kołnierzem Medicis. Patrz r. 4.

N. 26. Suknia przybrana guziczkami.

N. 27. Suknia z rękawami i przybraniem robotą wiązaną. Patrz ryc. 6 i 24.

objętej listewką. Model okrycia był z białego kaszmiru, na watowanej jedwabnej podszewce, obłożony wokoło białem futrem 10 c. szeroko i ozdobiony wspaniałym maszynowym haftem, wykonanym jedwabiem różowym w trzech cieniach, jasno-zielonym i nitką złotą.

N. 11. Szkatułka pokryta skórą.

Wsparta na płaskich okrągłych nóżkach liczy 34 c. wysokości, 48 c. długości a 27 c. szerokości; przygotowana z deseczek 1 c. grubych, pokryta skórą pomalowaną na kolor niebieskawo-popielaty, stanowiący tło, na którem efektownie odznacza się deseń wytłaczany i złocony. Środek wyklejony materyałem wełnianym w turecki deseń.



N. 28. Suknia z paskiem gorsecikowym. Patrz ryc. 29 i 31.

N. 29. Okrycie krótkie do ryc. 28.



N. 30. Plecy do r. 23. N. 31. Plecy do r. 28—29.

N. 12. Okrycie balowe.

Uszyte z białego cienkiego s[illegible] lub z kaszmiru, na lekko podwatowanej jedwabnej podszewce, obłożone wokoło białym tybetańskim barankiem na 5 c. szeroko, ozdobione jest białą pletnią jedwabną przerabianą złotem, 4 c. szeroką, na ramionach ułożoną w podwójne kontrafałdy po 3 c. szerokie.

N. 13—16. Uczesanie wysokie.

Takie uczesanie wymaga długich włosów, które rozdziela się poprzecznie i splata na środku głowy mały warkoczyk, służący jako podstawa do której wszystko się przypina; przy niezbyt grubych włosach można uczesawszy przednią część włosów, tak jak zwykle są noszone, związać wszystkie razem na czubku głowy. Następnie dzieli się na kilka promieni i każdy promień oddzielnie zwija w rulon na dwóch palcach, podług r. 15 i przypina jako pukiel, lub też grubszy rulon rozdziela przez środek przewinięciem promienia, w kształt węzła w kokardzie (patrz r. 16). Szpilki mogą być ozdobne, lub przypina się zwyczajnemi, wsuwając je niewidocznie.

N. 17—18. Uczesanie nizkie.

Włosy rozdzielone wzdłuż na dwie połowy odczesują się do tyłu, lekko zafryzowane lub nie i związują dość nizko. Następnie trzeba znów rozdzielić na dwie części, a każdą na dwa promienie; każdy promień zwija się lekko i skręca po dwa ze sobą, poczem zapina podług ryciny 17.

N. 19—21. Chustki na szyję.

Rycina 19 przedstawia chustkę mającą w kwadrat 51 c., przerabianą w rzymskie pasy koloru: białego, ponsowego, niebieskiego i żółtego; druga chustka biała, 34 c. w kwadrat ma szlak jasno-niebieski. Szalik r. 21 liczy 13 c. szerokości a 100 c. długości i ma na tle ponsowem poprzeczne pasy: żółte, czarne i zielone.

N. 23 i 30. Suknia z krótkim trenem.

Odznacza się wytwornym gustem i przedstawia bardzo efektownie, odrobiona z żółtawo-białego atłasu i z tiulu haftowanego złotemi perełkami; r. 30 przedstawia plecy sukni z deseniowej materyi. Spódnica podszewkowa krajana z trenem 120 c. długim, ma bryt przedni pokryty w górze na 9, u dołu na 42 c. szeroko, podwójnie wziętą białą crêpe de Chine, narzuconą zwierzchu brytem tiulowym przymarszczonym, 81 c. szerokim, w rzucik z perełek i ze szlakami u dołu, po 10 c. szerokiemi. Boki i tył sukni pokryte atłasem (300 c. szerokości), z boków ułożonym w dwie głębokie kontrafałdy, z tyłu w płaskie fałdy zwrócone do środka. Stanik obciśnięty



N. 32. Plecy do r. 34. N. 33. Plecy do r. 35.

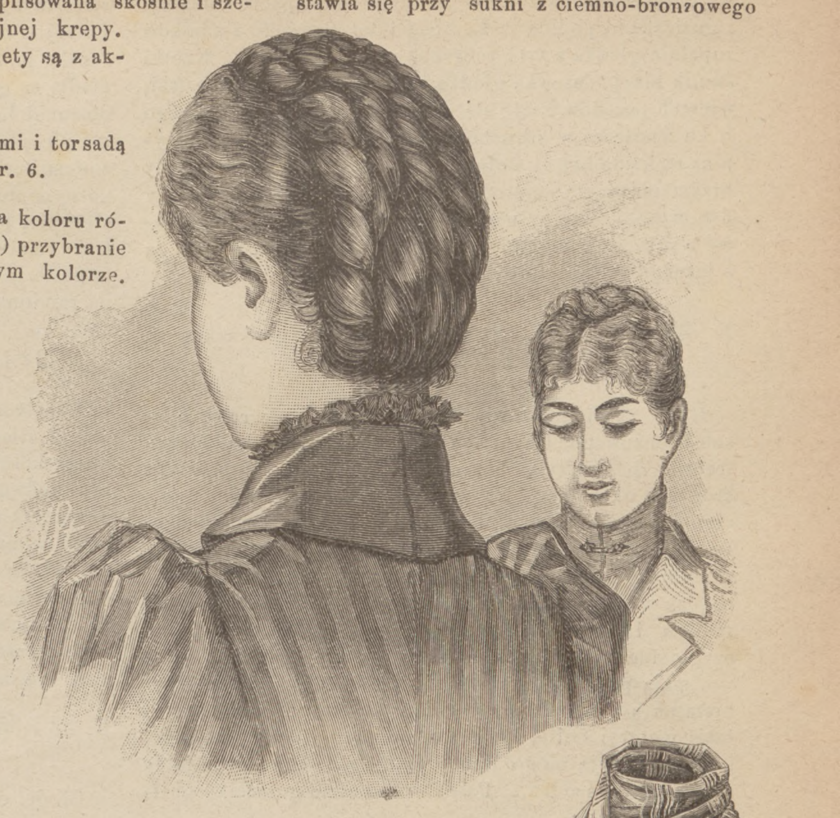
paskiem ma przody skośnie fałdowane szeroko otwarte na kamizelce z marszczonego tiulu; kwadratowy wykrój przedni przysłania szmizetka zaplisowana skośnie i szeroka riusza ułożona z podwójnej krepy. Pasek, kokardy i wązkie mankiety są z aksamitu.

N. 24 i 27. Suknia z rękawami i torsadą robotą wiązaną. Patrz r. 6.

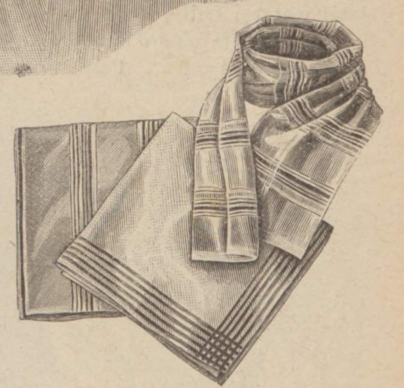
Przy sukni w cienkiego sukna koloru różowawo-lila (fijołków alpejskich) przybranie robotą wiązaną było w czarnym kolorze. Przód i boki spódnicy podszewkowej przysłania bryt sukienny 230 c. szeroki, ułożony na biodrach z prawego boku w trzy fałdy zwrócone do przodu, z lewego w dwie zwrócone do tyłu. Brzegi bryta podłożone są w fałdę przyczepioną wzdłuż sukni, pod którą zachodzi brzeg przybrania w kształcie kieszeni, widocznego na r. 27. Vêtement ma przód i pierwsze boczki krajane na długość zwykłego stanika, zaś plecy i drugie boczki krają się w całej długości i liczą u dołu 130 c. szerokości, która w górze zebrane w fałdy zwrócone do środka. Przody zebrane w każdej połowie w dwie fałdy, są u dołu zapięte na jeden guzik i patkę, krajaną przy prawej połowie; podszewka zapięta środkiem na kryte haftki, pokryta jest suknem i robotą wiązaną, co zastępuje kamizelkę. Kołnierzyk stojący również torsadką przykryty. Robota wiązana od wielu lat znana czytelniczkom naszym; do r. 23 i 27 wykonana jest z jedwabnego sznureczka wiązanego w płaskie podwójne węzły. Ryc. 15 przedstawia rękaw rozłożony płasko, na którego tle rzucony deseń w gwiazdki, zaczynający się od góry, przy piątym rzędzie podwójnych węzłów jedną gwiazdką, w niższych rzędach co trzy przybywa po jednej gwiazdce, a w najszerszej części dane pięć rzędów po cztery gwiazdki. U dołu rękawa wypadają trzy gwiazdki i ośm rzędów płaskich węzłów. Nitka pomocnicza liczy 160 c. długości; na niej zakładają się nitki robocze, jak to widać na r. 15. Skończony rękaw trzeba u dołu starannie obrobić, zamocowując wszystkie końce nitek. Przybranie boczne w kształcie kieszeni stanowi prosty kawałek roboty wiązanej, 15 c. wysoki, 22 szeroki, zakończony u dołu frendzlą 18 c. długą.

N. 26. Suknia przybrana guziczkami.

Bardzo efektownie i oryginalnie przedstawia się przy sukni z ciemno-bronzowego



N. 17—18. Uczesanie nizkie.



N. 19—21. Chustki na szyję.



N. 34. Okrycie krótkie balowe z kamizelką. Patrz ryc. 32.

N. 35. Okrycie balowe obłożone piórami lub puszkiem.

i piaskowego sukna przybranie z bronzowego sutaszu i guziczków. Przy ciemnej spódnicy dane jasne obłożenie 21 c. szerokie, naszyte w równych odstępach sutaszem i guziczkami podług r. 26. Spódnica z przodu i z boków zupełnie gładka z tyłu zebrana w ścisłe fałdy. Krótki stanik ma podszewkę gładką zapiętą środkiem na haftki; wierzch przodów kraje się w jednym ciągu, z prawego boku wpuszcza w szew boczny i ramienia, z lewego przypina na kryte haftki; dolny brzeg zebrany w fałdki, górny przymarszcza się na środku pod szyją. Kołnierz stojący 6 c. wysoki, sztylpy u rękawów 16 c. i pasek gorsecikowy z przodu i z tyłu po 17, z boków 14 c. wysoki są z jasnego sukna przybrane sutaszem i guziczkami.

N. 28—29 i 31. Suknia z paskiem gorsecikowym i krótkie okrycie.

Ryc. 29 przedstawia ładne ubranie spacerowe z jasno-bronzowego (Havanna) materyału himalaya, obłożone srebrno popielatym barankiem (mouflon), dopełnione krótkiem okryciem. Na spódnicy podszewkowej, zakończonej wązką falbanką, dana zwierzchnia z brytów prostych, z przodu zaszyta odpowiednio do figury, ułożona zupełnie gładko, z tyłu zmarszczona w głębokie fałdy, między któremi opuszczone dwa pukle. Obłożenie z baranków liczy 10 c. szerokości. Zwracamy uwagę na oryginalne odrobienie stanika; przody ścięte bawetowo, mają podszewkę dopasowaną gładko i zapiętą środkiem na haftki, wierzch zaś dany z jasnej srebrno-popielatej materyi faille, kraje się znacznie szerzej, przymarszcza pod szyją na środku, a u dołu składa po dwie fałdy zwrócone do środka. Pasek w kształcie gorsecika obciska przody i jak to wskazuje r. 28 zapięty jest środkiem i łączy się z boczkiem dwoma rzędami płaskich guziczków krytych materyałem i pentelkami ze sznureczka. Potrójne boczki i plecy przedłużone są w paletotowe karoczko podług r. 31; rękawy długie podług wymagania mody, są gładkie jak na r. 28, lub też zapinane na podłożonej listewce z jasnej materyi. Króciutkie okrycie ma plecy zakończone krótkiem, w dwie kontrafałdy złożonem karczkiem, przody zaś krzyżują się skośnie i przy górnym brzegu mają obłożenie z baranków 6—10 c. szerokie, połączenie z plecami stanowi pokryta materyałem zmarszczonym elastyka 20 cent. długa, przyszyta w pasie. Puszczone pelerynowe rękawy, przy wszyciu na ramionach, przemarszczone w nagłówek.

N. 32 i 34. Okrycie krótkie balowe z kamizelką.

Uszyte z cienkiego białego kaszmiru, na lekko watowanej atłasowej podszewce, ma kamizelkę i wysoki otwarty kołnierz z jedwabnej materyi ottoman. Aplikacya jedwabna przyszyta maszynowo lub obwodzona sznureczkiem jedwabnym zakończa brzeg dolny. Kamizelka wpuszcza się w szew ramion i przyczepia do podszewki przodów, prócz tego przytrzymana jest w pasie szeroką elastyką, pokrytą marszczonym atłasem. Wysoki kołnierz jest podszewkowany pluszem żółtawo-białym i ma z brzegów przyszytą 3 c. szeroką riuszę z piór strusich, spuszczoną wzdłuż kamizelki.

N. 33 i 35. Okrycie balowe obłożone puszkiem lub piórami.

Model odrobiony był w kolorze złoto-żółtym, z materyi ottoman, podszytej lekko watowanym atłasem, obłożony piórami i ozdobiony wspaniałym haftem z jedwabiu i złota. Rękawy dolmanowe mają na ramionach bufkę dodaną z oddzielnego skośnego kawałka, złożonego we dwoje, 4 c. szerokiego, 36 długiego, zmarszczonego w rodzaj nagłówka.

N. 36—41. Ekran z haftem i wypukłemi kwiatami.

Składa się z trzech skrzydeł z ozdobnemi ramami rococo; na środkowem skrzydle dany bukiet z goździków wypukłych, wykonany na tle z cienkiego sukna blado-niebieskiego (36 c. szerokości, 51 wysokości). Ryc. 36 przedstawia jedną gałązkę w naturalnej wielkości; osoba posiadająca talent do rysunków z łatwością ułoży deseń podług maleńkiego wzoru r. 41. Wszystkie ogonki kwiatów dane z cienkiej jedwabnej szneli w czterech cieniach oliwkowych i trzech jasno-zielonych, przyszywanej przez wierzch poprzecznemi ściegami jedwabiu cieniutkiego, tego samego koloru. Podłużne wązkie liście wyszyte ściśle zajmowanym ściegiem cierniowym, między konturami ze ściegu sznureczkowego, jedwabiem oliwkowym w czterech cieniach, ciemno-zielonym w trzech i majowo-zielonym w dwóch cieniach. Na kwiaty potrzeba cieniutkiego ponsowego sukna w trzech cieniach, naśladujących naturalny kolor goździków. Pełny, rozwinięty goździk układa się z trzech małych i dwóch większych listków, wyciętych podług r. 38—39. Żyłki daje się ściegiem luźnym na jasnych listkach ciemnym jedwabiem, na ciemnych bardzo jasnym. Mniejsze listki związują się mocno razem, a większe przyszywają się do nich podług ryciny 40. Tak przygotowany kwiatek przyczepia się podług deseniu do tła i dorabia przy nim podłużną kapsułkę, wykonaną podług ryciny 37; potrzeba najpierw przygotować wypukłe podłożenie z grubej białej bawełny, zwiniętej na palcu, złożonej i przyczepionej do tła poprzecznemi ściegami. Przykrycie wyszyte ściegiem atłaskowym jasno zielonym jedwabiem; zakończywszy kapsułkę trzeba podług ryciny 36 nadać kształt kwiatu, odwijając niektóre listeczki i przyczepiając je niewidocznie. Pączki układają się z jednego tylko listeczka oprawionego w kapsułkę, jak to widzimy na rycinie 36. Przyszywając ogonki szenelowe, dodaje się jeszcze zwierzchu kapsułki osadę z trzech ściegów łańcuszkowych. Na bocznych skrzydłach ekranu można fantazyjnie rzucić pojedyńcze gałązki.

N. 42. Sukienka przemarszczana dla panienki lat 8—10.

Podobną sukieneczkę z wełny w drobną kratę opisaliśmy i przedstawili (z tyłu) na r. 19 w N. 42, podając tam wymiar brytów, odsyłamy więc tam po szczegóły, a dziś dodajemy, że r. 42 przedstawia sukienkę z muślinu wełnianego w kolorowe kółka, zakończoną u dołu obrąbem 10 c. szerokim, nad którym dane trzy zakładki po 2 cent. szerokie Koronka 9 c. szeroka garniruje wykrój szyi, przysłania plastron i mankiety.



N. 36. Gałązka goździków do ryc. 41. Haft i aplikacya wypukła. Patrz ryc. 37—41.

N. 37. Wyszycie kapsułki do kwiatka.



N. 38. Listek większy do ryc. 36.
N. 39. Listek mniejszy do ryc. 36.



N. 40. Kwiatek złożony do ryc. 36.



N. 42. Sukienka przemarszczona dla panienki lat 8—10.



N. 41. Ekran z haftem i wypukłemi kwiatami. Patrz ryc. 36—40.